№ 10 WARSZAWA, DNIA 8 MARCA 1913 ROKU ROK III



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

Książę Józef Poniatowski.

DOKOŃCZENIE.

Napoleon będąc na wyspie Ś-ej Heleny wyraził się o ks. Józefie:

„Poniatowski był prawdziwym królem, łączył wszystkie po temu tytuły i wszystkie talenty: a jednak zmilczał".

Niedługo odpoczywać miało wojsko polskie: już w początkach Września wzięło udział w większej, bardzo silnej potyczce pod Lobau, potem zaś w bezustannych utarczkach z następującemi wojskami austrjackiemi dotarło do Lipska.

Przeciwko Napoleonowi wytworzyła się koalicja Austrji i Rosji, której wojska osaczyły armję francuską.

„Poniatowski ze swoim korpusem stanął na prawem skrzydle bojowego półkola, zatoczonego przez armję francuską, oparty o błotniste łożyska Pleissy i Elstery, a narażony na najgroźniejsze uderzenia nadciągającej od Czech dwójcesarskiej potęgi. Już 12 Października w forpocztowem starciu, sam szarżując na czele pułku III ułanów, został lekko ranny w rękę piką.

W przededniu pierwszej walnej bitwy lipskiej, 15 października z rana, przybył Napoleon na prawe skrzydło i obwieścił armji, że mianuje Poniatowskiego marszałkiem Francji. W biuletynie z tegoż dnia wyrażone zostało, iż książę dotychczas, „we wszystkich bitwach okrył się sławą". Wojsko wystąpiło pod broń dla wysłuchania rozkazu dziennego o nominacji: wszystkie sztaby, złączone w deputacji, stawiły się przed księciem, by powinszować mu buławy marszałkowskiej, nie-

bywałego dotychczas dla cudzoziemca zaszczytu.

Zaraz nazajutrz 16 Października książę wystawiony był na straszliwą próbę ogniową i zniósł ją z niewzruszonym spokojem, wyszedł z niej bez drgnięcia, z nadspodziewanym nawet sukcesem.

Z 17 października mamy jeszcze zachowane pismo księcia z pola bitwy, raport o sukcesie wczorajszym, prosty, ścisły: „nieprzyjaciel nie zdobył ani piędzi terenu... wojsko okazało zapał i wytrzymałość godne podziwu, ale straciłem $^1/_3$ ludzi i nie mam amunicji".

Nazajutrz nastąpił dzień bitwy krytyczny, dla korpusu polskiego najgorętszy. Tego samego dnia na polu bitwy przeszli do nieprzyjaciela Sasi, nadciągnęły świeże, nieprzyjacielskie rezerwy Blüchera i Bernadotta.

Dalsza walka stawała się wprost beznadziejną.



Shako ks. Józefa.

Wieczorem wydał rozkaz Napoleon do odwrotu.

Wojsko przechodzić musiało przez groblę półmilową i ośm mostów, rzuconych na błotniste koryto Pleissy, Elstery i ich odnóg. Po drugiej stronie, jak zwykle, straż tylną, pod czuwającym całą noc Poniatowskim, trzymali Polacy.

Wstał zimny, wietrzny, pochmurny ranek 19 października. Siwa, ciężka mgła podnosiła się z bagnistego nadrzecza, rozkładała się po ogromnej równinie, przesycała oparami świeżej krwi, łączyła z mżącym gdzieniegdzie, przejmującym do szpiku jesiennym deszczem.

Już prawie cała armja na drugą stronę przeszła, gdy wtem po 11 zrana, przedwcześnie wysadzony został w powietrze przez saperów francuskich most na Pleissie.

Ks. Józef, mając przy sobie kilkuset ledwo ludzi, nagle został odcięty. Wycofywał się on właśnie z zachodniego przedmieścia lipskiego, na czele szczupłej eskorty kirasjerów i krakusów, szarżując raz po raz nacierających tyralierów nieprzyjacielskich. Wtedy po raz trzeci otrzymał postrzał w rękę, lecz owinąwszy ją chustką, na koniu pozostał. Otaczający go sztab, generałowie Małachowski, Grabowski i inni, wobec zamkniętego odwrotu i niemożności dłuższej obrony, błagali go, aby się poddał, osobę swoją dla kraju zachowując. On nie słuchał. Oczy miał krwią nabiegłe, twarz nienaturalnym pałającą rumieńcem, znużony był, wyczerpany śmiertelnie, osłabiony od ran, zgorączkowany, na pół przytomny: odpowiadał na wszystko:

— „Trzeba umrzeć mężnie!”

Rzucił się wpław do Pleissy, ale już koniem kierować nie zdolny, porwany był siłą prądu.

Wpadł za nim do rzeki młody kapitan francuski, Blichamp, w chwili, gdy uwalniał się od tonącego konia, i wydobył na brzeg przeciwny. Ruszył książe dalej pieszo przez błotniste ogrody już wszędzie napełnione tyralierką nieprzyjacielską. Tutaj po raz czwarty odebrał kulę w bok; słaniając się, padł w objęcia paru dotrzymujących mu jeszcze kroku oficerów, po chwili odzyskał przytomność, dosiadł z trudnością podanego konia, ale opuścił się na siodle.

Ociekał krwią, był już zapewne ranny śmiertelnie, śmierć miał w spojrzeniu i wyrazie; ale na ponawiane błagania towarzyszów nie odpowiadał już wcale, tylko coś z gniewnem uniesieniem mówił o Polsce i honorze. Wtem na widok nieprzyjacielskiej piechoty, porwał się raptem sił ostatkiem i skoczył z koniem do Elstery.

Tu ostatnią kulę odbiera w lewą pierś, przeszyty na wylot, usuwa się z konia, i po krótkiem pasowaniu się, znika pod wodą.

Tak żył i umarł książę Józef Poniatowski!

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

— Słuchajcie!—rzekł Pietrek, stając nagle — nie dobrze nam iść teraz na krakowską drogę. Jutro, skoro się dowiedzą, że Hieronim uciekł, poślą łapać. A że z nami poszedł, pobiegą ku Krakowu...

— Gdzież tedy zostać? — spytał Stach.

— Dwie są drogi do Krakowa — rzekł Hieronim. — Jedna, którą od nas jeżdżą. Ta idzie na Iwaniska, Bogorję, Staszów, Nowe Miasto. Drugą by znaleźć, trza nam pójść teraz w prawo. Dalej będzie, ale bezpiecznie. Pójdziem przez Raków, Chmielnik, potem na Pińczów... a stamtąd jest wielka droga do Krakowa. Idźmy!

— Nie zbłądzisz po nocy?

— Tubym zbłądził?—odparł Hieronim.

— Tu?

Obejrzał się wokół. Najdłużej patrzył w stronę lasu.

— Idźmy — rzekł Pietrek.

Poszli.

O plebanie i o wielkiej pani.

Po południu krakowskim gościńcem szło trzech chłopców, znużonych, zakurzonych, głodnych. Przed nimi na równem błoniu leżała wielka wieś kościelna. Ale choć widzieli z daleka dzwonnicę, wystrzelającą nad sady i strzechy chłopskie, nie słyszeli dzwonów. Był wielki czwartek. Dymy wiły się nad wsią tu i owdzie, smalono wieprzki, porżnięte na święta.

U samego wejścia do wsi było myto. Właśnie przechodziło całe stado wołów w chmurach kurzu. Coś się tam stało, bo woły stanęły, a z przed domku mytnika biegł wrzask kłótni. Konni, jadący za wołami, z długiemi biczami w ręku, pozsiadali z koni i pośpieszyli na miejsce rozprawy, za nimi cisnęły się psy. Tylko woły, chłoszcząc się ogonami, żując trawę, porykując wciąż, czochając się to o siebie to o płoty, stały cierpliwie i czekały swojej kolei.

Chłopcy doszli do stada i przeprawili się aż przed chałupą mytnika. Ten miotał się we wściekłym gniewie, krzycząc, klnąc, szarpiąc brodę i wywijając pięściami przed trzema czy czterema wolarzami. Był czerwony jak rak, a oczy omal mu nie wypadały.

Wolarze nie trzymali także języka na uwięzi, i nic nie zostawiali na potem, cokolwiek mieli do powiedzenia, jeno sypali wszystko, jak popadło.

Czynili zaś wszyscy razem tak wielki wrzask i takie zamieszanie, że chłopcy

nie mogli zrozumieć, o co rzecz idzie. Widzieli tylko, że część wołów przeszła, a zasunięty szlaban nie puszczał reszty. Dla większej wagi siedziało na nim dwóch olbrzymich synów albo pomocników mytnika.

Chłopcy ostrożnie, jak położenie wymagało, przysunęli się ku przejściu, i już chcieli schyliwszy się przejść popod szlaban, gdy mytnik skoczył ku nim jak ryś:

— Nie tykaj! Raku zatracony!

Żacy odskoczyli, a Pietrek krzyknął urągliwie, rozgniewany:

— My nie woły! Kopytkowego nie płacim!

— Przez płot przeleźmy—doradzał Hieronim z cicha.

— Hale! — krzyknął jeden z wolarzy, rzucając się na mytnika — oszalał stary wyga! Nuże bracia, przytrzymajcie go!

Na szamotanie, które zaraz się wszczęło między wolarzami a mytnikiem, rzucili się chłopi, dotąd siedzący na szlabanie nieruchomo, i wpadli w bójkę, bronić mytnika.

Baba wybiegła z chaty: i żaden, ani mytnik, ani wolarz tyle nie powiedział, ani takiego straszliwego nie narobił krzyku, jak pani mytnikowa, gdy głos rozpuściła. Tamci tymczasem tłukli się, wodząc za czuby od studni do przyzby, a od przyzby do płotu.

Już żacy korzystając z zamieszania wleźli na płotek niewysoki, pleciony z łozy, który oddzielał sad mytnika od sadu chłopskiego za szlabanem, gdy usłyszeli nowe głosy, wołające:

— Hej! hej! a nie szło tędy troje pacholąt, żaków wędrownych?

Mytnikowa, ciekawa, trochę przystanęła w swojej mowie, która już i tak była długa i straszliwa. Odwróciła się ku obcym i rzekła:

— Jeden wyższy, ładny?

Hieronim wychylał się z pomiędzy gałęzi, żeby zobaczyć kto mówi. Ujrzał Sebastjana i Szymka, konno.

Skrył się co żywo, udzielając tej nowiny towarzyszom.

— Uciekajmy! — rzekł Stach, zsuwając się na drugą stronę płotu.

— Sadem, przez rzeczkę i na łąki — mówił szybko Pietrek—tam skryjcie się w łozinie.

— A ty?—spytał Hieronim.

— Ja tu poczekam, co oni uczynią.

Baba tymczasem powtórzyła:

— Jeden z siwemi oczyma?

Pietrek nie wytrzymał i dał kuksańca Stachowi:

— Toś ty jej w oko wpadł!

— Sss, pohańcze! — oburzył się Stach targnąwszy go za nogę, bo już był na ziemi.

— Prędzej! prędzej! — naglił Hieronim, ciągnąc Stacha.

Obaj przebiegli sadem chłopskim w dół aż do rzeczki płynącej za wsią.

Sebastjan pojął wreszcie wśród wrzasku bijatyki, co mówiła baba, i krzyknął w gniewie:

— Cie, ki djabeł was opętał! Na oczy bym ta patrzał! Byli tu, czy nie?

— A byli, byli!—rzekla baba.—Dwóch mniejszych, a jeden już sobie niczego...

Teraz Sebastjan kopnął konia i począł się przepychać między wołami razem z Szymkiem, który parł się za nim.

Pietrek tylko się chyłkiem przemknął w wielkie i gęste krzaki i tam przypadł jak zając w trawie.

— Podnieście szlaban!—grzmiącym głosem krzyknął Sebastjan.

Wolarze właśnie zaczynali brać górę nad mytnikami. Ale wcale się nie zanosiło, by się bitwa miała wrychle skończyć.

— Zapłaćcie, panie, to was puszczę, — rzekła baba.

— Żywo!—krzyknął Sebastjan, rzucając

jej dwa szelążki, które chwyciła w lot.—Dawno tu byli?

— Tyle że przeszli! — odpowiedziała, biorąc się do podnoszenia szlabana.

Ale ledwie drąg się usunął, robiąc przejście i Sebastjan ruszył koniem aby przejechać, gdy woły także ruszyły bezmyślnie i ciężko, tłocząc się jedne przez drugie ku przejściu.

Co widząc bijący się, zczepieni w kłąb jak walczące koguty, ponieśli się kupą w stronę baby, drąga i konnych.

Mytnicy rzucili się zamykać, wolarze naglić woły, dostało się i babie, i konnym, których ściśnięto wśród wołów. Pietrek bawił się wybornie: położenie zmieniało się z wielką szybkością, a rzecz nie rozstrzygała się na niczyją stronę. Podobało mu się też, że Sebastjan już w ostatniej złości rzuca się na koniu, a nie może się wydobyć z pośród wołów, wokół chwiejących spokojnie porożem.

Nagle struchlał: tuż ujrzał starego chłopa w białej płótniance. Oparty oboma łokciami o płot stał w swoim ogrodzie i przyglądał się bijatyce. Ani chybi, widział wszystko: jak tamci dwaj uciekli, a Pietrek skrył się w krzaki.

— Powiedzieli, że sto wołów! — krzyczał mytnik.—Złodzieje! przeszło dwieście! Poczekasz, wisielcze, jak cię do grodu pozowę! Będziesz miał! I za razy! Z wieży nie wyjdziesz, zatracony poganinie! Rozbójniki! Wisielce!

— Sto djasów niech ich porwie, a ciebie nie ostawi!—Sebastjan na to.—Puszczasz? Od czego cię tu posadzili, złe nasienie, jeno byś ludziom otwierał, gdy ci w łapę tę łakomą wrażą, coś wycyganił? Puszczaj, psiajucho, a jak nie...

— Oj, czy uciekać nie pewniej? — myślał sobie Pietrek, jednem okiem czuwając nad Sebastjanem i mytnikami, a drugiem badając z trwogą chłopa:—powie, czy nie? widział, czy nie?

Sebastjan minął wreszcie z Szymkiem przejazd, gdy obejrzawszy się tuż, spostrzegł owego starca. Nie zważając na kłótnię, która znów zawrzała, ściągnął konia i spytał:

— Powiedz mi też, gospodarzu, nie widziałeś tu trojga pachołków niedużych? Bo od owych nic się nie dowie, całkiem rozum stracili.

— Ba!

— Dawno śli?

— Kie im pora była,—odrzekł stary.

— Nie wytwarzaj! — pogroził Sebastjan.—Był tam młody panic, pana Marcina z Sulisławowa brat. Pańska sprawa, powiadaj coś widział, byś źle na tem nie wyszedł!

— Ani źle, ani dobrze nie wyjdę,—odrzekł chłop, — bom już taki stary, że za dom nie wychodzę nikaj.

Sebastjan kopnął konia i pognali obaj z Szymkiem, klnąc.

Pietrek nie ruszał się, czekając jeszcze. Ale chłop powlókł się, bo ledwie chodził, wzdłuż płotu po drugiej stronie, aż stanął w pobliżu i niegłośno rzekł:

— Zmykajże, synu! A do wsi bezpieczniej wam nie zaglądać, bo was chwycą.

D. c. n.

POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował J. Szczawiński.

Ciąg dalszy.

Wielki kot, jak gdyby przeczuwał, że właśnie ten człowiek z lassem w ręce był jego największym wrogiem; kręcąc się w zwartem kole myśliwych i śledząc każdy ruch konia i jego jeźdźca, otworzył ziejącą paszczę i bił rozwścieczony coraz silniej ogonem w ziemię.

Im z odległości sześciu metrów, pomimo, że koń silnie rwał, z zadziwiającą pewnością i zręcznością zarzucił pętlicę i ściągnął mocno na szyi zwierzęcia.

Chrapliwe wydając dźwięki, zerwał się wielki kot na tylne łapy i chwycił przednią lewą łapą śmiertelne lasso, prawą zaś rozpaczliwie usiłował się bronić.

Myśliwi szybko przybiegli z pomocą, aby nawpół uduszonego, lecz jeszcze czołgającego się kota dobić.

I Chmurzyńskiego owładnął zapał myśliwski, jakkolwiek żal mu było, że to piękne, szlachetne stworzenie taki smutny koniec spotkał. Koń jego przyszedł pierwzzy do martwej już prawie pumy — nagle wystraszony skoczył w bok, ponieważ puma zupełnie niespodziewanie zerwała się na tylne łapy, usiłując przedniemi schwycić konia za szyję. Wprawdzie nie udało się jej to, lecz koń spłoszył się tym nieoczekiwanym atakiem tak dalece, że jak szalony i ślepy popędził galopem w step.

Jan był dobrym jeźdźcem, ale wobec tego zwierzęcia, dzikim strachem opanowanego, niczem była jego sztuka; ani nawoływaniem, ani silnem wstrzymywaniem wędzideł nie zdołał zatrzymać konia. Pędził, jak opętany coraz dalej i dalej, aż wreszcie zginął jeźdźcom z oczu za łańcuchem skał.

I tu też nie mógł inżynier wstrzymać konia; przeciwnie, siły zaczęły go opuszczać i nie mógł już dłużej panować nad zwierzęciem. Kiedy wreszcie rozszalały koń napotkał olbrzymi blok skalny, który stanął mu na drodze, przesadził go śmiałym skokiem i jednocześnie wyrzucił Jana z siodła.

Jan tylną częścią głowy uderzył o twardą skałę i stracił przytomność.

Jak długo leżał, zanim znów otworzył oczy, nie zdawał sobie z tego sprawy. Czuł tylko silny ból w głowie, słońce niemiłosiernie piekło, pragnienie spalało gardło i wargi, a konia ani śladu nie było widać. Dopiero po kilku minutach młody człowiek zdołał się nieco podnieść, aby rozejrzeć się po okolicy.

Z radością spostrzegł zbliżającą się grupę jeźdźców: towarzysze nie znaleźli go, machał więc chustką, aby go prędzej zauważyli.

Już oddawna spostrzegli go i wprost na niego jechali, lecz — co to, czy mógł

Jan wierzyć swoim oczom, czy też był jeszcze nie zupełnie przytomny i jakieś mary go prześladowały?...

Nawpół nieprzytomny, Jan nie zdawał sobie jasno sprawy ze swego położenia i tylko szeroko otwartemi oczami patrzał



... Lasso zacisnęło się mocno dookoła szyi pumy.

na jeźdźców, którzy byli już tuż przy nim i jak gdyby cieszyli się z jego bezsilności.

Ci, co jechali ku niemu, nie byli to ani fermer, ani Monsard, ani też Im lub Bob, lecz Alfons Gonzales, czarny Dik i jacyś inni dwaj mężczyźni, zdaje się nawet ci sami, których przed kilku dniami spotkano w towarzystwie Allana na ścieżce w kanjonie Kolorado!

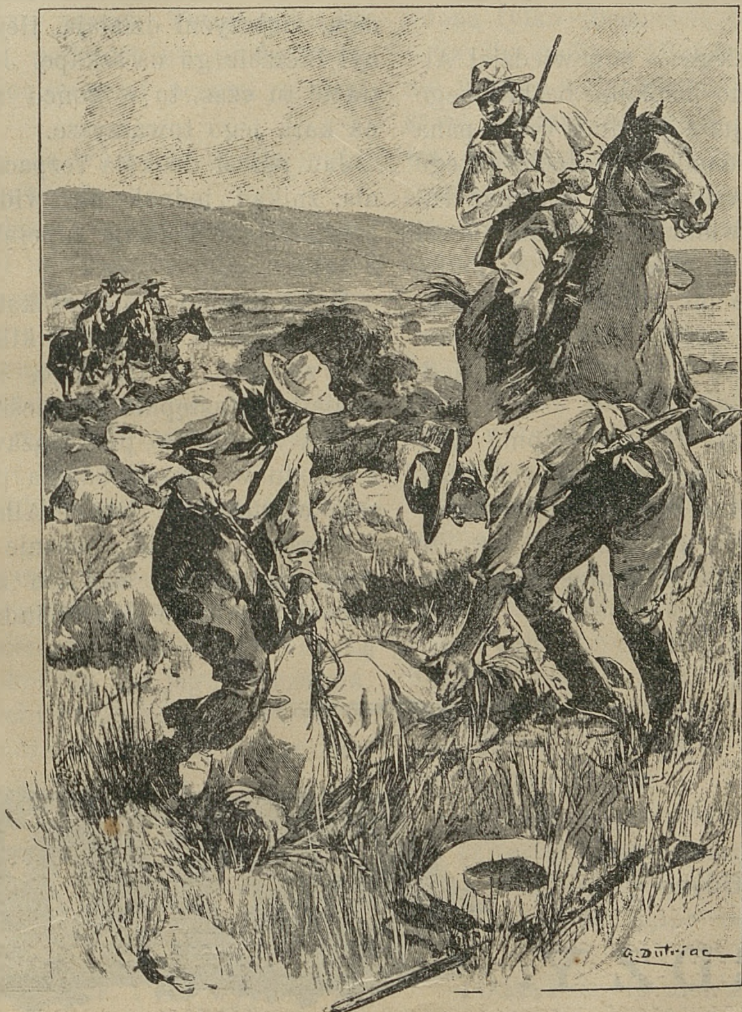
Alfons Gonzales wykrzywił twarz strasznym uśmiechem i zawołał szyderczym głosem:

— Bardzo mi przyjemnie spotkać tutaj

pana, panie Chmurzyński! Sytuacja jest trochę niezwykła i niezupełnie odpowiada oczekiwaniom, jakie pan miał, wyjeżdżając z Hamburga. Tak, często dzieje się inaczej, niż sobie projektujemy! Jednak

czeniu. Chciał właśnie się podnieść, lecz w tej chwili na znak czarnego Dika podbiegli dwaj cowboye i zatrzymali go przy ziemi.

— Co to ma znaczyć, panie Alfonsie



.... Skrępowali bezbronnego, jak zawiniątko.

cieszę się naprawdę, że mogę właśnie tutaj pana pozdrowić; mam nadzieję, że przyjemność jest nie tylko po mojej stronie!

Jan odzyskał tymczasem zupełną przytomność umysłu i słuchał tych niesmacznych żartów Alfonsa w pogardliwem mil-

Gonzales?!—zawołał wzburzony Chmurzyński.—Niedość, że postąpiłeś pan tak nizko, chcesz jeszcze dopuścić się gwałtu na mej osobie? Zaiste, jestem w ręku pana i jego towarzyszy, zapewniam jednak, że to panu bezkarnie nie ujdzie.

— Niech się mój kolega tak bardzo

nie unosi — odpowiedział meksykańczyk tym samym co przedtem ironicznym tonem. — Zapewniam, że ani jeden włos z głowy panu nie spadnie, jeżeli pan będzie się zachowywać spokojnie i pójdzie z nami.

— Co macie zamiar ze mną uczynić?— spytał Jan.

— Zgoła nic złego — odpowiedział Alfons, krążąc konno naokoło bezbronnego więźnia. — Uprzejmie prosimy tylko pana udać się wraz z nami do posiadłości tego oto pana—tutaj wskazał na czarnego Dika—w celu załatwienia małej handlowej formalności: chodzi mianowicie o dobrowolne odstąpienie mi pańskiego wynalazku i podpisanie pisma, w którym pan oświadcza, że rzecz ta jest zgodnie i jednomyślnie załatwiona.

Jan oburzony był do tego stopnia czelnością Gonzalesa, że próbował znów zerwać się. Lecz silne ręce cowboya zatrzymały go przemocą przy ziemi, tak, że mógł tylko drżącym z oburzenia głosem odpowiedzieć:

— Przenigdy nie zgodzę się na tę haniebną propozycję! Róbcie ze mną, co chcecie, nędznicy, lecz nie oczekujcie ani jednego dobrowolnego kroku.

Czarny Dik, którego wreszcie ta rozmowa zaczęła niecierpliwić, zawołał:

— Poco tak wiele mówić? Kobiety gadają, mężczyźni działają. Hej, Tom, Johnny! Bierzcie go na szkapę. Jeśli będziemy tracić tu czas, to w końcu nadejdą nam na kark jego towarzysze.

Jan rzucał dookoła rozpaczliwe spojrzenia, znikąd jednak nie widział pomocy; przyjaciele widocznie zupełnie stracili go z oczu.

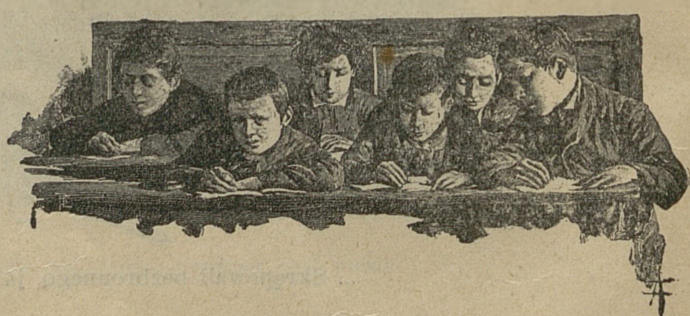
Dwaj cowboye nie czekali na powtórzenie rozkazu, odwiązali kilka lin od pasa i związali bezbronnego, jak jakieś zawiniątko. Następnie podnieśli ciężar ludzki na konia, a przywiązawszy mocno z przodu w poprzek siodła, pojechali kłusem w kierunku fermy Allana.

Zwracali jednak bacznie uwagę na wszystkie strony, aby ich znienacka nie napadł fermer ze swymi ludźmi.

(D. c. n.)

Marja Buyno.

KOLEDZY.



Ciąg dalszy.

— Ciekawy jestem, jak?

— Zobaczysz!—odpowiedział tajemniczo.

Profesor Molski zmuszony był wyjechać na kika dni i zjawił się na lekcję dopiero po tygodniu.

Gdy wszedł do klasy, pierwsze jego spojrzenie padło na Michasia. Uśmiechnął się: jego przewidywania sprawdziły się co do joty! Chłopiec siedział z silnemi kolorami, błyszczącemi oczami, z wyrazem

wielkiego wzruszenia, lecz i pewnej radości w całej postaci.

— Otrzymam jego spowiedź! — myślał profesor, a zbliżając się do Michasia, rzekł głośno. — No, mój przyjacielu, pokaż mi, coś tam napisał!

Chłopiec wyciągnął drżącą rękę, w której trzymał spory zeszyt. Twarz pobladłą ze wzruszenia podniósł ku profesorowi, a jasnemi, promiennemi oczami zdawał się mówić:

— Dziękuję! Ja wiem, że to dla mnie, dla mojego zbawienia...!

Profesor Molski z prawdziwą przyjemnością patrzył na chłopca, dla którego miał od pierwszych chwil zobaczenia go, w niezbyt zresztą sprzyjających okolicznościach, wiele sympatji.

Teraz patrząc w wyraziste, prawe oczy Michasia nie mógł się powstrzymać, by mu nie szepnąć zachęcająco:

— Odwagi, chłopcze! Wszystko będzie dobrze.

— O, jaki pan dobry!—odszepnął chłopiec, a uczucie głębokiej, szczerej wdzięczności i promiennej nadziei, że oto za chwil kilka skończy się jego męczarnia, napełniła go niebywałem uszczęśliwieniem.

Za chwilę może już zwrócą się ku niemu życzliwe spojrzenia! Za chwilę może już pobiegnie ku niemu szept:

— Niesłusznie cię sądziliśmy! przebacz!

O, bo niepodobna, by ich nie wzruszyło, to, co napisał! Wszystkie swoje nadzieje, wszystkie potem męczarnie, całą swą rozpacz opisał dokładnie; i nie wypierał się swych win, przeciwnie, przyznawał się do wszystkiego, ubolewał, że może jego nieumiejętne postępowanie przyczyniło się się do tego, że stał się obcym — więcej nawet — niemiłym tym właśnie, których życzliwości tak bardzo pragnął! I prosił niech mu pozwolą przekonać ich, że nie jest takim, jakim go przedstawił nieszczęśliwy zbieg okoliczności, niech mu pozwolą zbliżyć się do siebie, naprawić zło...

Profesor Molski zwrócił nagle oczy na klasę. Zadziwił go pomruk jakiś, cichy, ledwie uchwytny, lecz jak z doświadczenia wiedział ten wielki przyjaciel młodzieży, zwiastujący burzę gwałtowną, tłumioną tylko obecnością profesora.

Czyżby znów o Michasia chodziło? Tak, nie ulegało wątpliwości! Spojrzenia ukradkowe, rzucane w stronę chłopca, pogardliwe, a kłujące jak igły, półsłówka rzucane szeptem, zarumienione lub przybladłe twarze dowodziły aż nadto, że znów w jakiś sposób Michaś oburzył kolegów.

Lecz co to było?

— Może Zygmunt zechce odebrać od kolegów wypracowania! — rzekł spokojnie pan Molski, nie przestając jednak uważnym wzrokiem badać klasy, by odkryć przyczynę wzburzenia.

Zygmunt podniósł się, wyprostował, jak struna, lecz nie ruszał się z miejsca.

— A więc? — zapytał profesor, zaczynając już domyślać się prawdy.

— Panie profesorze, nie napisaliśmy wypracowania — rzekł głośno, wyraźnie Zygmunt.

— Jakto? Dlaczego? — marszcząc czoło, zapytał pan Molski.

— Temat wypracowania był za łatwy dla czwartej klasy! — odparł szybko Zygmunt, jakby chcąc pozbyć się jaknajprędzej ciężkiej roli odpowiadania za wszystkich.

— Odkąd że to moi uczniowie wiedzą lepiej odemnie, czego im uczyć się należy? — rzekł wolno, akcentując każdy wyraz pan Molski.

W klasie było cicho, cichuteńko! Pierwszy to raz, jak istniała szkoła, zdarzyło się, że uczniowie zbiorowo przeciwstawili się żądaniu profesora Molskiego.

(D. c. n.).



Jan Matejko.

Dzieje cywilizacji w Polsce: «Złoty wiek»

Pamięci wielkiego męża.

W dniu 20 lutego upłynęło sto lat od chwili, gdy żyć przestał jeden z tych, którymi słusznie kraj może się szczycić, człowiek umysłu wzniosłego, o charakterze nieskalanej prawości—Tadeusz Czacki.

Urodzony w d. 28 sierpnia 1765, w pięknym Porycku na Wołyniu, syn Szczęsnego, podczaszego koronnego, oraz Katarzyny z Małachowskich, wzrastał, żył i działał w czasach dla kraju ciężkich i burzliwych. Myśl jego wcześnie zwróciła się ku rzeczom wielkim, z losami narodu związanym: nie mając lat 20-tu, był już gruntownym znawcą prawa i wybitnym uczonym.

Wtedy właśnie przyjechał do Warszawy i pracując jako prawnik przy sądach koronnych, resztę wolnego czasu poświęcał studjom nad filozofją i prawem. To też w r. 1786 Sejm czteroletni mianował młodzieńca członkiem Komisji Skarbu, co było dowodem wielkiego uznania dla jego nauki i charakteru. Wkrótce zarządzono bezpodstawnie konfiskatę jego dóbr rodzinnych; udał się wtedy osobiście do cesarza Pawła I-go, który ujęty jego obejściem otwartem a pełnem godności i spokoju, nakazał zwrot majątków.

Następny monarcha, Aleksander I, również darzył Czackiego względami i życzliwością; wtedy też nasz obywatel-patrjota przedsięwziął reformę szkolnictwa, jako wizytator szkół na Podolu, Wołyniu i Ukrainie. Wkrótce za jego staraniem powstało tam mnóstwo szkół różnego typu, z których najwyższą i najważniejszą było liceum w Krzemieńcu, otoczone wielkiem uznaniem całego narodu.

Prócz gorącego zajęcia się sprawą wykształcenia młodzieży na światłych i dobrych synów swojej ziemi, zajmował się również żywo rozwinięciem handlu i przemysłu w Królestwie: wydał swoim nakładem mapę wodną ziem polskich, zalecał wysyłanie młodzieży na wyższe studja naukowe i techniczne za granicę, aby za powrotem mogła podnieść i rozwinąć przemysł krajowy. Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie, Towarzystwo żeglugi na Dniestrze, jemu początek swój zawdzięczają.

Słowem, nie było żadnej dziedziny pracy społecznej, gdzieby umysł potężny Czackiego nie wprowadzał zmian ku lepszemu, nie ożywił ruchu handlowego i naukowego.

Przy końcu życia doświadczał nieraz różnych przykrości i szykan, nieodłącznych od wysokiego stanowiska, jakie zajmował; lecz cesarz Aleksander I-szy nie pozwolił go z niego usunąć, a nawet proponował mu godność wiceministra oświaty i krzesło w senacie.

Czacki wolał jednak pozostać w kraju, aby rozpoczęte dzieło dalej prowadzić—i na tem stanowisku, po kilkodniowej chorobie, zakończył życie w Dubnie na Wołyniu d. 20 lutego 1813.

Była to jedna z najszlachetniejszych, najczystszych postaci w epoce porozbiorowej, obfitującej w wielkich ludzi, między którymi nazwisko Czackiego, jako wskrzesiciela oświaty i wzorowego obywatela-patrjoty, na zawsze jaśnieć będzie.

ZE SKAUTINGU.

Otrzymaliśmy wiele listów od naszych czytelniczek, zainteresowanych coraz więcej u nas rozwijającym się ruchem skautowskim. W niektórych listach brzmią jakby żal i wymówki, czemu to skauting dla chłopców tylko jest przeznaczony, czemu nie ma w nim nic dla dziewcząt?

Inne zawierają pytania, czy dziewczęta mogą należeć do skautingu, czy mogą ćwiczyć się w jego zasadach i obowiązkach? Otóż wszystkim czytelniczkom, interesującym się skautem, odpowiadamy, że do organizacji skautowskiej należą w równej mierze dziewczęta, jak chłopcy, że prawidła są jednakowe dla jednych i drugich. Różnica zaś polega jedynie w ćwiczeniach, które są dla dziewcząt mniej męczące.

Zasady skautingu są tak piękne, że każdy z nich skorzystać może dla kształcenia swej woli i charakteru.

Podajemy tu dziesięć jakby przykazań skautingu z książeczki X. Dr. Kazimierza Lutosławskiego:

1. *„Na słowie skauta można polegać jak na Zawiszy.* Prawość, słowność, rzetelność—lojalność w stosunkach ludzkich, to jest zupełne uniemożliwienie obłudy—oto rysy, które na duszy skauta rzeźbią wymagania tego prawa.

Niema dla skauta kłamstwa konwencjonalnego, niema hypokryzji, niema wykrętów: tak—tak, nie—nie; co ponadto jest, ze złego jest! Znamy czyste źródło tych wymagań!

2. *Skaut jest wierny Ojczyźnie i swoim obowiązkom.* Skaut nie żyje dla siebie: całe życie jest sługą społeczeństwa, któremu z poświęceniem oddaje wszystkie siły w pracy. Obowiązek jest motorem jego czynów, obowiązki nie są mu ciężarem, lecz życiem samem. Wierność reguluje jego stosunek do przełożonych i podwładnych; jest wiernym druhem, wiernym pracownikiem

3. *Skaut jest pożytecznym bliźnim: codzień musić spełnić „dobry uczynek"*; nie bohaterstwo w nim ma mieć na względzie, ale ćwiczenie duszy, aby pobudką jej działania była potrzeba cudza i wzgląd na społeczną użyteczność — a nie własne tylko interesy i zadania.

4. *Skaut jest przyjacielem wszystkich, a bratem każdego innego skauta*, uprzejmość i szlachetność obejścia cechują go zawsze. Wobec obcych i spotykanych nieznajomych i znajomych, jego troską nie jest to, co by mu od nich grozić mogło, ale czy nie mógłby im w czemkolwiek być potrzebnym i pożytecznym.

5. *Skaut jest rycerski* — ponad zwykłą uprzejmość, okazuje szczególną delikatność kobietom i dzieciom, szczególną gotowość pomocy — słabym, obrony — pokrzywdzonym, pociechy—cierpiącym.

6. *Skaut jest przyjacielem zwierząt*, szanuje ich życie i podziwia w nich mą-

drość przeznaczeń Stwórcy i cudowną harmonję instynktów, a tępi w sobie pierwotne zapędy niszczycielskie w stosunku do przyrody.

7. *Skaut jest karny, i szczególnie posłuszny rodzicom i przełożonym;* wie on, że jego własna wola nie jest ostatnią racją jego postępowania, ale poczucie obowiązku, wyższe prawo moralne, dobro społeczne — których wyrazem bywa wola powołanych przełożonych w życiu rodzinnem i narodowem—przewodników, mających komendę, w życiu skautowem. Ta karność w życiu skautowem niema z zastępców skautowych uczynić armji pieszków w ręku jakiejś władzy zewnętrznej, ma ona wyrobić w duszach skautów nawyk karności, uczynić ich karnymi synami w rodzinie, karnymi uczniami w szkole, karnymi pracownikami w każdej organizacji społecznej, karnymi synami kraju ojczystego. Skauting nie dla siebie wymaga karności — ale dla życia narodowego.

8. *Skaut jest pogodny i wesoły;* nie zniechęca się, nie zraża, nie zna co to dąsy, a szczególniej obce mu są wybuchy trywialności w chwilach niepowodzenia, które przekleństwami kalają usta szlachetnych.

9. *Skaut jest oszczędny* — nie przez sknerstwo, lecz przez przezorność i przez ofiarność, by od ust sobie odejmując, mieć „na odzianie i nakarmienie Matki Ojczyzny".

10. *Skaut jest czysty w myśli, mowie i uczynkach*, i jakby symbolem tej czystości jest jego wyrzeczenie się alkoholu i tytoniu."

Poruszanie się wieży Eiffla.

Słynna wieża paryska, gienjalny pomysł inżeniera Eiffla, stała się w czasach ostatnich znów tematem artykułów naukowych. Okazało się bowiem, że długość wieży zmienia się pod wpływem ogrzanego powietrza.

Właściwie mówiąc, skonstatowano już dawniej, że sam wierzchołek wieży porusza się pod jednostronnem działaniem słońca. Obecnie poczyniono badania na platformie wieży, umieszczonej na wysokości 116 metrów nad poziomem ulicy. Dla porównania, przytwierdzono na poziomie platformy drut ze stali niklowej, ciągnący się do bruku ulicznego.

Zaznaczyć należy, że na stal niklową nie wpływa prawie wcale ogrzewanie. Tym sposobem stwierdzono zmianę w położeniu platformy za pomocą kresek, wykonanych końcem drutu na wałku papierowym, umieszczonym na platformie.

Rezultaty badań wykazują uderzający proporcjonalny wpływ temperatury na wahania wieży. W czerwcu zmiana wysokości wynosiła 10 milimetrów. Deszcz zmienia wahania, obniżając temperaturę powietrza. Na wysokości drugiego piętra sięgają wahania 3 centymetrów.

Wieża więc w tym wypadku zachowuje się, jak bardzo czuły termometr. Zrozumiałem się to stanie, jeśli się zważy, że wieża, lubo zawiera 427.000 pudów samego żelaza, nie mniej jednak jest nader smukła. Można się o tem przekonać z modelu wieży, wykonanego w stosunku jeden do tysiąca. Model w tym wypadku będzie miał wysokość 300 milimetrów, waga zaś jego będzie wynosiła tylko siedem gramów.



Ś. p. Marja Arct-Golczewska.

W d. 3 Marca, po długiej i męczącej chorobie zakończyła życie jedna z poważnych popularyzatorek wiedzy, poświęcająca się rozwijaniu wśród dzieci i młodzieży zamiłowania do nauk przyrodniczych, ś. p. Marja z Arctów Golczewska.

Od wczesnej młodości zaczęła pracować w tym kierunku, do którego Ją skłaniały wrodzone zdolności, umiłowanie ziemi ojczystej i pragnienie szerzenia światła.

Była ona jedną z pierwszych studentek wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie, na wydziale przyrodniczym, a jej zasługi około utworzenia Tow. Kolonji letnich dla kobiet pracujących, oraz w zakresie oświaty ludowej będą Jej trwałym pomnikiem.

Niezmordowana pracowitość i zajęcie się ulubionym przedmiotem, sprawiły, iż pomimo ciężkiej, pięć lat trwającej choroby, wzbogaciła naszą literaturę przyrodniczą wielu, tak oryginalnemi, jako też tłómaczonemi dziełami pierwszorzędnej wartości pedagogicznej.

Pobieżne tylko ich wyliczenie przekona o słuszności tych słów; są to: wyborny „Podręcznik do nauki botaniki", „Atlasiki botaniczne", „Atlasiki kieszonkowe: Motyle, Owady, Ptaki, Zwierzęta, Rośliny", „Botanika na przechadzce", „Grzyby jadalne i trujące", „Rośliny krajowe trujące, lecznicze i jadalne", „Rośliny kwiatowe", „Rośliny tatrzańskie i alpejskie", „Kwiaty wiosenne w polu, lesie i ogrodzie", „Wskazówki do zbierania, określania i zasuszania roślin oraz układania zielnika" — i wiele innych.

Przyswoiła też ś. p. Arct-Golczewska literaturze naszej sporą ilość dzieł przyrodczych, np. Arabelli Buckley „Zwróć oczy na przyrodę", Bernsteina „Życie rośliny," Brehma „Z życia zwierząt" oraz doskonałe opowiadania E. S. Thompsona pod takimże tytułem. „Nasz Świat" również zamieszczał niektóre z tych przekładów, jak „Czynk, wierny pies" i „Dzielny Rogacz".

Już tylko przytoczone przez nas prace, (a jest ich więcej) mogłyby wypełnić sporą część życia zdrowego i czynnego człowieka; ilość ich zdumiewa tembardziej, gdy pomyślimy, iż tego dokonała kobieta trawiona ciężką, kilkoletnią chorobą.

Jakże więc silnem być musiało umiłowanie nauki, oraz pracy dla dobra młodzieży, skoro tyle sił dodać mogło, pozwoliło zapomnieć o cierpieniach i smutkach, których życie nie szczędzi nikomu! Lecz na to potrzeba, jak mówi poeta (St. Grudz).

«...mieć przed sobą wiecznie
Cel wielki, święty, ukochany,
Coby rozpraszał nam słonecznie
Żywota chmury i tumany...»

Takim celem było dla zmarłej ukochanie nauki i ziemi rodzinnej, której służyła dzielnie do ostatnich prawie chwil życia.

Będąc wzorową córką, żoną i matką, miała zawsze i dla dalszych słowo serdeczne, radę, pomoc, i dla wielu była najlepszą opiekunką. Świadczyły o tem łzy, płynące z oczu prawie wszystkich, którzy Ją odprowadzili na miejsce wiecznego spoczynku...

Lekką niech będzie ta ziemia ojczysta swej wytrwałej a cichej pracownicy dla dobra współbraci!

Redaktor i wydawca: Marja Bujno-Arctowa. Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3